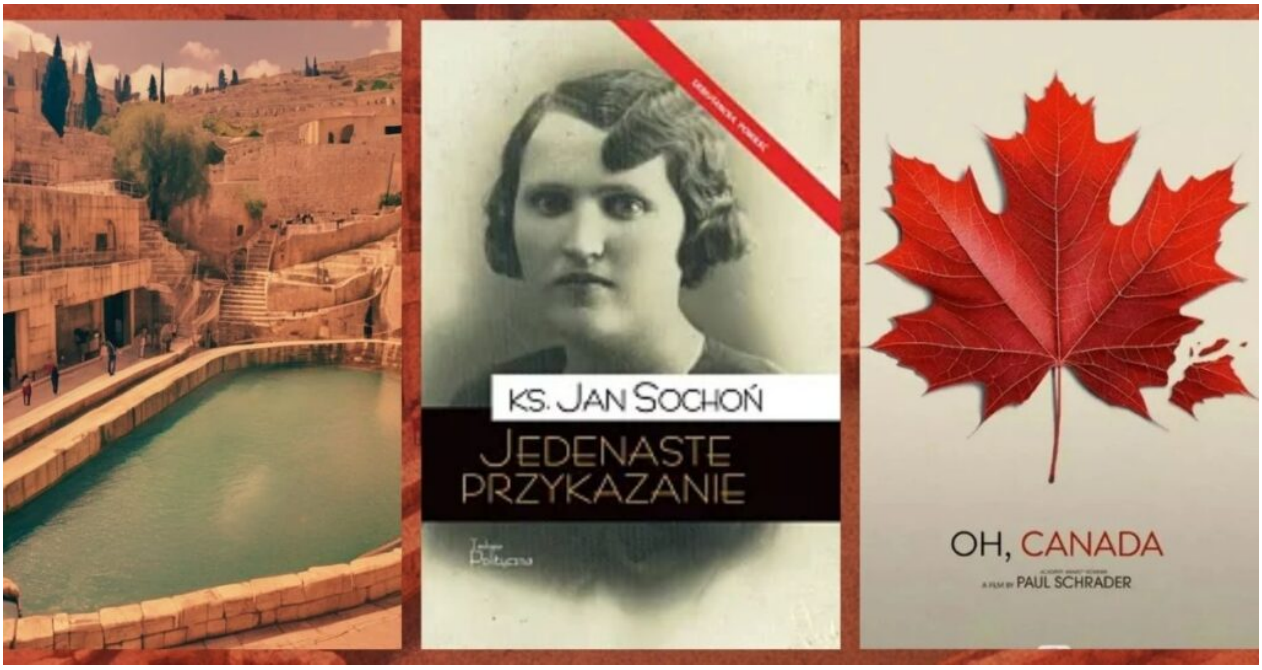
TOŻSAMOŚĆ · RECENZJA

OPOWIEŚĆ JAK WODY SILOE. KS. JAN SOCHOŃ I PAUL SCHRADER

Michał Gołębiowski · 2 marca 2026



Dzisiejsze czasy sprzyjają i nie sprzyjają tego typu twórczości. Wiele zależy od sposobu, w jaki na to spojrzymy. Mam tu na myśli twórczość cichą, pokornie skierowaną do środka, a nie na wzburzone fale, które gaszą wiarę; skupioną na wnętrzu, bez reszty zajętą tym, co naprawdę ważne. Twórczość, która nie usiłuje zaskarbić naszej uwagi. Porównuję ją do wód Siloe, o których prorocy mówili – „płyną łagodnie", a nie są „gwałtowne i rwące" (Iz 8,6-7). Koją, leczą i nawadniają. Nie niszczą.

Arystoteles mawiał, że prawdziwa mądrość istnieje dla samej siebie. Nie ma żadnego celu ponad swoją własną głębią. Jest wartościowa nie tyle przez skutek (choć oczywiście go czyni), ile przez sam fakt, że jest mądrością. Dlatego mędrzec to jednocześnie kontemplatyk. Coś z tego ducha znajduję w dwóch dziełach kultury, które ukazały się stosunkowo niedawno. Tak, w każdym razie, postrzegam ostatni film Paula Schradera, *O, Kanado!*, i debiutancką powieść ks. Jana Sochonia, *Jedenaste przykazanie*,dwa dzieła pod wieloma względami od siebie różne, choć gdzieś w głębi ducha, gdzieś w sercu spotykające się ze sobą.

Mądra, dojrzała nostalgia, wrażliwość na trwanie i upływ czasu, głębokie poczucie godności i człowieczeństwa, lecz – co równie ważne – bez patosu i bez tkliwości. A jeśli do tego wszystkiego dodamy bliskość wobec codziennej prawdy życia – to uzyskujemy ton, który leczy i prowadzi.

Głos cichy i mocny

Jak wspomniałem, czas dzisiejszy – taki jakim jest, z całym jego przeładowaniem i chaosem – nie sprzyja twórczości łagodnej niczym wody Siloe. Jej głos, choć sam w sobie silny, gubi się w szumie słów, zwłaszcza gdy ten przytłacza nas z każdej strony i utrudnia nam słyszenie. Zwykle taka twórczość nie przebija się przez hałas dlatego, że jej autorzy nawet tego nie chcą. To, można powiedzieć, artyści starej szkoły, starej mentalności. Dla nich liczy się wewnętrzna mądrość i spełnienie dzieła, w wierze, że ona obroni się sama, bez dbałości o zasięgi oraz to, co potrząsa duszami doraźnie, w wymiarze nietrwałego teraz.

Można by im zarzucić, że nie odpowiadają na bieżące zapotrzebowanie publiki. Albo że nie wchodzą w dialog ze znakami czasu. W istocie sprawy wyglądają jednak odwrotnie. Na czasie jest zwłaszcza to, co dotyka sedna egzystencji naszej epoki w kluczu ponadczasowym, a więc nie zatrzymując się na powierzchni problemów i zdarzeń.

Z drugiej strony współczesność jakoś jednak sprzyja takiej twórczości, wewnętrznie mądrej i pokornej. Przede wszystkim w tym sensie, że w całym tym nowoczesnym pędzie i przebodźcowaniu – coraz mocniej odczuwamy potrzebę ucieczki do wód Siloe. W książkach takich jak *Jedenaste przykazanie* i w filmach takich jak *O, Kanado!* znajdujemy ukojenie. Są to dzieła, które wymagają zatrzymania się, jakiejś dozy „ubóstwa w duchu" (zob. Mt 5,3), wyciszenia i minimalizmu. Dopiero wtedy można usłyszeć ich melodię.

> Szkoda jedynie, że oba te dzieła, *O, Kanado!* oraz *Jedenaste przykazanie*, przeszły mimo wszystko bez większego echa. A sądzę, że zasługują na znacznie szerszy oddźwięk. Co więcej, czytając głosy krytyki, odnoszę wrażenie, że zarówno film Paula Schradera, jak i powieść ks. Jana Sochonia nie zostały wystarczająco czujnie odczytane.

Odchodzenie według ks. Sochonia

Ważnym komponentem powieści ks. Sochonia jest prawda życia. Albo prawdę, którą opowiedziało samo życie, skoro autor opowiada w swojej książce historię rodzinną, którą zachowały opowieści i domowe pamiątki.

Chętnie mówi o tym sam ks. Sochoń. Była rodzinna szafa, w niej paczka z napisanymi po niemiecku listami, każdy adresowany do matki poety. Pojawia się tajemnica, niedopowiedzenie i miłość między Polką i Niemcem, a więc taka, która w tamtym czasie nie miała szans. To, że sam autor w wywiadach niemal zawsze przedstawia taką właśnie genezę *Jedenastego przykazania*, jest znamienne dla wszystkiego, co opowie nam Franciszka, bohaterka i narratorka utworu. Ten metapoziom historii, uwydatniony dodatkowo zdjęciami umieszczonymi wewnątrz książki, wydaje się istotny. Nie ogranicza się jedynie do czegoś w rodzaju biograficzności tej prozy, lecz kieruje czytelnika w stronę poważnie pojętego realizmu prawdy. Miałem tu wręcz skojarzenia z książką Lucii Berlin, *Witaj w domu*, aczkolwiek dzieło to jest bardziej pamiętnikarskie, a mniej powieściowe. W każdym razie, ks. Sochoń przełamuje, jako realista w sensie literackim i filozoficznym, barierę pomiędzy życiem faktycznym, wspomnieniowym i prozatorskim.

Wspomniałem o Lucii Berlin, ale to nie jedyne skojarzenie. Nostalgiczne opisy powieści *Jedenaste przykazanie* raz za razem przywodziły mi na myśl to, co czytałem u Zsuzsy Bánk, zwłaszcza w *Jasnych dniach*.

Nie sugeruję tym samym, że ks. Sochoń wzorował się jakoś na książkach tej wybitnej niemiecko-węgierskiej pisarki (daj Boże, przyszłej laureatce literackiej nagrody Nobla). Ich warsztat różni się od siebie, ale mają wspólnego ducha. *Jedenaste przykazanie*, dzieło bez wątpienia swoiste i spójne z poetyką autora, jak dotąd filozofa i poety, ma coś z namacalności wspomnień z *Jasnych dni*. Zresztą zarówno Bánk, jak i ks. Sochoń mają tę rzadką umiejętność przedstawiania przeszłości, tego, co tym mocniej uzmysławia nam, że „przemija postać tego świata" (1 Kor 7,31), jako zarówno starą fotografię, rodzinną pamiątkę, jak i coś wiecznie pulsującego życiem.

Dla mnie *Jedenaste przykazanie* było nie tyle powieścią opartą na faktach, ile medytacją nad odchodzeniem i wyłaniającym się dzięki niemu (a nie wbrew) sensem wydarzeń. Potwierdzają to słowa samego autora. Jak stwierdził, *Jedenaste przykazanie* to „fresk, w którym odtwarza dzieje rodziny na uniwersalnym tle pytań fundamentalnych o miłość i jej sens, bo miłość nawet niespełniona ma sens". O jakim odchodzeniu mówi powieść ks. Sochonia? Można by powiedzieć: o takim, które – mówiąc obrazem psalmisty – oddziela ziemię od srebra (zob. Ps 12,7), a ostatecznie odsłania to, co trwałe. Czas w tej powieści płynie. Można by znów powiedzieć – jak wody rzeki Siloe, „łagodne", a nie „gwałtowne i rwące" (Iz 8,6-7).

Odchodzenie według Paula Schradera

> Wiem, że mamy obecnie modę na wielkie powroty. Powroty, dodajmy, niegdysiejszych wielkich gwiazd, które odeszły w cień, a teraz na powrót stają w świetle reflektorów, ukazując – prawem paradoksu – nic innego, jak właśnie piękno i dramat odchodzenia. Ostatnio była to Pamela Anderson w filmie *The Last Showgirl*. Wcześniej Mickey Rourke w *Zapaśniku*. W *O, Kanado!* taką rolę potencjalnie mógłby odgrywać Richard Gere.

W przeciągu ostatnich lat był on wprawdzie obecny w szeregu pomniejszych produkcji, ale dopiero teraz postanowił wyraźnie zmienić swój sceniczny wizerunek: z amerykańskiego przystojniaka na umierającego na nowotwór starca. Odgrywana przez niego postać Leonarda Fife'a, ma w sobie zresztą trochę z samego Gere'a, a trochę ze Schradera. Jest to pogodzony z niedołężnością i rychłym odejściem pisarz, dokumentalista i wykładowca.

O! Kanado nie zdobywa jednak uwagi widza poprzez zmianę wizerunku Gere'a. Cała ta rola nie ma w sobie niczego z chwytu marketingowego. Nie krzyczy z plakatu, a jeśli ta zmiana rzeczywiście następuje, to cicho i skromnie, tak jak ciche i skromne (a przez to potężnie prawdziwe) jest umieranie Fife'a. Wszystko to dlatego, że film Schradera jest, podobnie jak *Jedenaste przykazanie*, dziełem twórcy w pełni dojrzałego, skierowanym do widza dorosłego emocjonalnie i duchowo.

O! Kanado wymaga od oglądającego medytacyjnego stylu odbioru kolejnych filmowych obrazów. Mało mamy dziś okazji, aby doświadczać takiej immersji. Miłości, ucieczki i podróże Fife'a – to po prostu życie. Podobnie jak to mamy chociażby w prozie Johna Fantego albo Russella Banksa, zresztą autora powieściowego pierwowzoru *O, Kanado!*, najważniejsze jest czyste doświadczenie istnienia. Z niego wypływa wszystko, co mamy wiedzieć. Morał nie jest wypowiadany wprost. Sens czy znaczenie opowiadane są przez życie takie, jakim jest; zwyczajne, powszednie, nieuczesane. Zupełnie jak w piosence Arthura Lee z

grupy Love: „Najpierw trzeba żyć, a później pytać, po co”.

U ks. Sochonia niespełniona, niemożliwa miłość, u Schradera odkrywanie zaś trudnej prawdy i umieranie – obie te sytuacje skąpane są w blasku słońca. Ono daje ukojenie, wycisza i wlewa nadzieję. Być może jest to nadzieja, która przekracza widzialny horyzont.

Pamięć nie odtwarza, lecz tworzy sens

Zarówno w powieści ks. Sochonia, jak i w filmie Schradera najważniejsza okazuje się pamięć. Ona nas buduje i czyni w pełni ludźmi. Ona również nadaje sens drodze, którą przebyliśmy, nie do końca świadomi kierunku, a nawet – naszej genealogii.

U obu twórców pamięć została postawiona w dość specyficznym kontekście. Oglądając film Schradera, szybko orientujemy się, że opowieść Leonarda Fife’a jest dość niekonsekwentna. Pamięć schorowanego starca okazuje się więc wątła i omylna. Można by jednak powiedzieć, że „moc doskonali się w słabości” (2 Kor 12,9), ponieważ błądzenie Fife’a pozwala nam na znaczące przewartościowanie: dotykamy esencji przeszłości, a nie faktów w dokładnie takim porządku i takim kształcie, w jakim się wydarzyły.

U ks. Sochonia pamięć nie jest czymś zupełnie prywatnym. Została ona zapośredniczona w opowieściach rodzinnych. Pamięć jest tu również odkrywaniem kolejnych pokładów prawdy drzemiących pod powierzchnią historii. Jak wspomniałem, dochodzi tutaj do odkrycia tego, co ukryte, a co po odkryciu pozwala na nowo opowiedzieć życie matki, a zatem – samego poety.

> Pamięć staje się tu rzecznikiem tradycji rozumianej jako przekazywanie treści życia i rodzinną ciągłość, a dzięki temu także Opatrzności, która prowadzi los i wiąże nas z kolejami życia naszych przodków.

Ale dostrzegam jeszcze jeden rys podobieństwa między dwoma omawianymi tu dziełami. Ksiądz Sochoń odkrywa ukrytą prawdę z czasów młodości matki. Prawdę, która odsłania nowe wymiary swoich korzeni, jego własnego życia i losu ludzkiego w ogóle, jako takiego, zaplanowanego przez Boga. U Schradera postać odgrywana przez Gere’a snuje opowieść o młodości, która rzuca na jego teraz, zwłaszcza wobec rodziny i żony, nowe światło. Jak mówi Fife, wywiad, którego udziela, to nawet nie tyle wyznanie, co modlitwa. A „na modlitwie, czy się wierzy, czy też nie, zawsze jest się prawdziwym”.

Schrader i ks. Sochoń mówią zatem o prawdzie, która uwalnia i tworzy, nawet jeśli na samym początku wywraca dotychczasowy świat. „Obyś wyrywał i powalał, niszczył i burzył, budował i sadził” (Jr 1,10). Tak, doświadczamy tu wstrząsów. A zarazem narracja *Jedenastego przykazania* i *O! Kanado* nigdy nie krzyczy i nigdy się nie śpieszy. Płynie spokojnie, jak wody Siloe. Nic, co pośpieszne, nie zdoła sięgnąć wnętrza. Te dwa dzieła istnieją natomiast po to, aby przemieniać odbiorcę ku pięknu stawania się coraz bardziej człowiekiem.

Nagranie: https://www.youtube.com/watch?v=MrEBJsQ6cHI

Oryginał: https://nlad-kopia1113.instawp.site/opowiesc-jak-wody-siloe-ks-jan-sochon-i-paul-schrader/

DOBRA ANALIZA WYMAGA CZASU

Rzetelny tekst to dni pracy: źródła, dane, redakcja. Każda wpłata pozwala nam przygotować kolejny. Nawet niewielka kwota ma znaczenie.

WSPIERAM ANALIZY

wspieram.nlad.pl



Zeskanuj, aby wesprzeć